



Kłopoty z programem

NIEWIELE dobrego mówiło się o ostatnich programach „Syreny”. „Kłopoty z popiersiami” *) z pewnością są od nich lepsze, ale czy dobre? Można by wysunąć co do tego duże wątpliwości. Zaczniemy jednak tym razem nie od pretensji, ale od wyrażenia... współczucia. Teatr bowiem namiętny się przez kilka miesięcy nad amontowaniem jako tako aktualnego programu w dość dużej części dotykającego bieżących spraw i nastrojów. A tu tymczasem przychodzi VIII Plenum i cztery dni, które wstrząsnęły Polską. I od razu wiele tonów satyrycznych zabrzamiało głucho, a czasem fałszywie. Niektóre uderzenia padły już w próżnię. To co tydzień temu mogło śmieszyć, dziś nas nic nie obchodzi. Znowu „Syrenie” zabrakło współbrzmienia z współczesnością. To „wina” życia, za którym — jak się okazuje — satyra teatralna tego typu nie jest w mocy nadażyć. Raz w tym programie próbowano ten brak nadrobić. Do dobrej zresztą, ale dziś już trochę zwietrzalejszej scenki w samolocie (tekst A. Marianowicza i J. Minikiewicza, muzyka Fr. Leszczyńskiego) dodano kilka aktualnych kupletów

*) „Kłopoty z popiersiami” — (Teatr Satyryków „Syrena”).

m. in. o tych, co marzą, aby znowu nastąpiła „era nowa-k” i o tym, że „skończył się Mazur, zaczęła się Polka”. Taka ingerencja chwili obecnej zdarzyła się jednak w programie tylko raz jeden.

Po tych więc — nie pierwszych zresztą — doświadczeniach warto się zastanowić, czy aby ten typ teatru satyrycznego, którego program wymaga zbyt długiego przygotowania i pomysłany jest na zbyt długą „eksploatację”, z góry nie jest skazany na niepowodzenie. Czy nie należałoby się zdecydować albo na program typu „warieté”, od którego wiadomo czego się wymaga a raczej czego się nie wymaga, albo na estradową scenę literacko-satyryczną, z możliwością częstej wymiany poszczególnych numerów. Dla tej ostatniej, oczywiście, sala „Syreny” się nie nadaje.

A warunki sali mają też duży wpływ na kształt artystyczny przedstawienia. „Kłopoty z popiersiami” są składanką monologów, kupletów, parodi bez tradycyjnej do tej pory piosenki artystycznej, czy pozycji poważniejszych. Można by powiedzieć, że na tym właśnie polega nowość tego programu. Ale jest to nowość tylko pozorna. Bo wszystkie bez wyjątku jego numery, zarówno w formie literackiej jak i w kształcie teatralnym, tkwią całkowicie w tradycji tego gatunku, takiej jaka wytworzył się w okresie międzywojennym. Rezw-

naja z ambicjami poszukiwać czegoś nowego w tym zakresie jest tu uderzająca. Wysuwając tego rodzaju pretensje zwykle stawia się za przykład studenckie teatryki satyryczne z Gdańska i Warszawy. Nie będą tego robił. Nie idzie o to, aby „Syrena” naśladowała tamte sceny i oryginalne formy przez nie stosowane. Idzie o to, aby szukała nowych ujęć zgodnych z swoim charakterem i swoimi możliwościami. Inaczej grozi jej zaskiepienie się w staroświecczość, która staje się nieprawna i której nie uratują nawet naprawdę świetni aktorzy. Właściwie trudno powiedzieć, że grozi, bo to już nastąpiło.

PONADTO wróćmy do „Kłopotów z popiersiami”. Przy uwzględnieniu wspomnianego już wypadnięcia programu z aktualności można powiedzieć, że jest w nim połowa pozycji udanych, a połowa nieudanych. Może to już wiele, ale z pewnością nie tyle, ile byśmy chcieli. Zresztą po premierze prasowej usunięto dwa najsłabsze „numery”, inne poprzestawiano, co z pewnością przyczyniło się do nadania większej zwartości i sensowności układowi całego przedstawienia, reżyserowanego przez Rarbarę Kilkowską. Poza tym trzeba stwierdzić, że na tym przedstawieniu publiczność się dość często śmieje, w tym nieraz z rzeczy naprawdę śmiesznych i dowcipnych. To także wiele, ale znowu to nie wszystko, czego byśmy oczekiwali od naszego i prezentacyjnego teatru satyrycznego.

Wymieńmy więc przede wszystkim najlepsze pozycje programu. A więc „Deo-żalęzająca” S. GRODZIENSKIEJ w pełnym dowcipu wykonaniu H. BIELICKIEJ zreczenie zastępuje konferansjerkę pierw-

szej części, parodiując kabaretowe rozbranki, którymi tak entuzjastują się niektórzy nasi „specjalni wysłannicy” na Zachodzie. Dalej „Przemiana materii” J. JURANDOTA, opowieść o naszych zagranicznych wycieczkach krajoznawczo-handlowych, dostarczających tak bogatego materiału satyrycznego. Wykonawczynią jest tu znakomita IRENA KWIATKOWSKA, która stworzyła swój własny typ estradowy, stara się jednak za każdym razem nie powtarzać. „Kolega Gluś” S. MROZKA (historia gorliwego sekretarza w domu starców) mimo paru niebitych smacznych trwałności jest bardzo śmieszny do czego przyczynia się świetne wykonanie T. OLSZY, który pokazał tu swą najlepszą formę. KAZIMIERZ KRUKOWSKI, prezentując jeden z swych doskonałych przedwojennych monologów przypomniał, że jest znakomitym aktorem estradowym. Jako konferansjer drugiej części miał ujmującą swobodę i umiejętność nawładzania kontaktu z widownią, śmieszny grał twarzą, przeczuciem się z uśmiechem do śmiertelnej powagi; znacznie słabsze natomiast były jego dowcipy słowne. ADOLFOWI DYMUSZY tym razem nie dano pola do popisu ani w roli wykładowcy w bardzo zabawnej zresztą scenie J. OREKI „Szkoła dyrektorów”, ani tym bardziej w słabym monologu własnego pióra pt. „AWANS”. Również STEFANIA GORSKA nie miała tekstów, w których mogłaby załysnąć jej talent. Śmieszny był obrazek parodiujący naszą „Jazzomanie” (tekst GOZDawy i STEPNIĄ). Triumfował tu żywiołowy humor K. BRUSIKIEWICZA. To byłoby chyba wszystko. Skęcz tytułowy (tekst A. MARIANOWICZA), spośród wykonawców warto wymienić L. MKURTOWSKIEGO) jest dosyć nudny poza końcową piosenką, skierowaną przeciw tym, którzy zawsze mają nosa i wiedzą, jak się „ustawiać”. Wybitną wartością przedstawienia były dekoracje M. EDEGO i J. POHORSKIEJ, dowcipne w rysunku i kolorze, pełne smaku i smaczków. Również Z. WIERCHOWICZ jako autorka kostiumów pokazała wiele gustu.

AUGUST GRODZICKI